Zawartości

BIBLJOTEKA TEATRÓW AMATORSKICH.

Nr. 90.

MONOLOGI

zeszyt szósty.

Spisał K L E W E.

LWOW 1922.
SPÓŁKA NAKŁADOWA „ODRODZENIE".

SPÓŁKA NAKŁADOWA „ODRODZENIE“ LWÓW, ZIMOROWICZA 51.

poleca

Bibljoteczkę teatralną dla dzieci i młodzieży

obejmującą kilkadziesiąt tomików sztuczek fantastycznych, komedyjek, historycznych i t. p. d. pióra najwybitniejszych autorów naszych milusińskich.

Wydawnictwa i utwory kabaretowe

M. ZIEMILSKI i M. GÓRNICKI: **„Śmiech na sali“**, wesołe utwory kabaretowe i monologi;
ANDA KITSCHMAN i M WINDHEIM: **Trzydzieści nowych piosenek kabaretowych,** z nutami;
J.. STAROSZKIEWICZ: **Polka Hosia-siusia,** nuty;
H ZBIERZCHOWSKI: **Walc nocy**, nuty.

Książka niezbędna dla każdego teatru amatorskiego

Przewodnik dla teatrów amatorskich

napisał WINCENTY RAPACKI artysta dramatyczny teatrów Warszawskich. — Wydanie nowe opracował J. Fryderyk Gawlikowski, profesor szkoły dramat. we Lwowie.

W każdym polskim domu muszą się znajdować J. Bałabana

Ilustrowane dzieje Polski (czwarte wydanie)

Wspaniałe dzieło **o 45 arkuszach (720 stron)**, formatu 4° z **400 ilustracjami**, podane przystępnie i zajmująco zarówno dla młodzieży jak i dla starszych, a doprowadzone do **ostatnich czasów.**

Wybijające się z pośród **wszystkich wydawnictw polskich swą taniością, a niezwykle interesujące**

ROMANSE, POWIEŚCI I OPOWIADANIA

najwybitniejszych autorów polskich i obcych. — Niezrównana **„Bibljoteczka prywatna i humorystyczna“**, senzacyjna **„Bibljoteka kryminalna“**, obejmująca perły naszej literatury **„Bibljoteka powieści polskiej“** nie mają sobie równych.

PAN SONETOWICZ.

MONOLOG.

(*Młody, wychudły człowiek z długim włosem, w czarnym stroju. Po podniesieniu zasłony — siedzi przez jakiś czas przy biurku. Dłuższa gra mimiczna, w której uwydatnia się zakłopotanie. Pisze kilka słów. poczem następuje pauza. poczem znów pisze i td*).

No, jeżeli mu się już ten sonet nie podoba, to na moją odpowiedzialność może się kazać wypchać gęsim kwapiem. On zresztą temu nie winien... Człowiek jest redaktorem literackiego czasopisma a nie ma pojęcia o najprymitywniejszych zasadach metryki i rymu. Ciągle powtarza w swojej naiwności: „Co to za rym, co za budowa, co za sens, gdzie myśl“... Oto skutki, gdy ktoś rozmija się z powołaniem i zamiast być aptekarzem obejmuje redakcję... Co ciebie sens obchodzi, czy rym do ciebie należy, czy bez rytmu nie może istnieć wcale dobry wiersz? Gdzież kto słyszał, żeby natchnienie wiązać paragrafami? Albo budowa... Czy wiersz jest dwupiątrową komienicą, czy zresztą kamienicę buduje się według jednego planu? Ty masz taki plan a ja mam taki... Ot, osioł! Rozminął się z powołaniem i teraz mnie przytacza paragrafy a każdy utwór zwraca mi z nadziemską bezczelnością. Powiada krótko: „To nie dla nas“. Ja

wiem, że to nie dla ciebie, dla ciebie pigułki, olejki, bandaże a nie takie wzniosłe twory, nie takie kopie boskich wdzięków... Ciebie muza nie całowała w czoło, to ty ją raczej... zresztą albo inni lepsi? Inni tacy sami! Wołam tu kiedyś Bajdurskiego do siebie i czytam mu dwa najświeższe utwory, które naprawdę w natchnieniu stworzyłem. Powiadam wam istne cacka, dzieła epokowe, perły najczystsze w morzu poezji... Czytam mu jeden, potem drugi i czekam... On milczy.. Czytam jeszcze raz i każę mu dobrze uważać, bo domyślam się, że pierwszy raz nie był w stanie pojąć, nie odczuł, nie pogłębił myśli wielkiej... On milczy... Wreszcze pytam, jak mu się podoba... On myśli, myśli, myśli, wreszcie po długiej pauzie powiada: „Czytaj jeszcze raz, bo — słowo daję — nie uważałem"... Gdyby nie okoliczność, że mam lepsze wychowanie, aniżeli mój kolega, byłbym mu uszy urwał. Czytam więc po raz trzeci powoli, z akcentem, z uczuciem... Zaledwie przęczytałem drugą zwrotkę a ten idjota wybucha homerycznym śmiechem: „Kiedyś ty to pisał człowiecze" — pyta złośliwie — „w dzień, czy w nocy, czy może ranem?" Rzuciłem manuskrypt w kąt, bo widziałem, że nie mam z kim mówić. Ot, zawiść na każdym kroku, zazdrośny cymbał jeden z drugim i basta. Nie tylko zawiść. Nie dopuszczą nikogo do uznania a zaledwie domyślą się, że ktoś jest zdolniejszy od nich, chcieliby gwałtem przytłumić w nim iskrę bożą, z którą przyszedł na świat. A ja właśnie czuję w sobie tę iskrę i nie dam jej przytłumić, choćby wszyscy na kuli ziemskiej aptykarze zostali redaktorami... Pięć lat zaledwie ukończyłem, kiedym pierwszy wiersz ułożył nieboszczykowi ojcu na imieniny, a śp. ojciec mój,

który był daleko większym znawcą poezji od wszystkich dzisiejszych redaktorów pomimo, że był tylko leśniczym — ojciec mój nieboszczyk powiedział wówczas do mnie: „Słuchaj chłopcze, masz tu szóstkę od ojca a ucz się pilnie, pracuj nad sobą, będą z ciebie ludzie, bo siedzi w tobie wielki człowiek“. Święte słowa... Ale poczciwy mój ojciec zapomniał dodać, że są źli ludzie na świecie, którzy nie z taką, jak on, łatwością płacą szóstkami za wiersze. I oto tej zawiści dzięki jeszcze ani centa za moje wszystkie wiersze nie dostałem... A mam ich już blisko dwa tomy.

Zeszłego tygodnia zebrałem wszystkie wiersze i podzieliłem na dwa wcale pokaźne tomiki. Jeden zatytułowałem: „Miłość w podskokach“ a drugi: „Wyskoki uniesień“... Zaniosłem do nakładcy, popatrzył na tytuły, pokiwał nosem i bąknął niewyraźnie! „Jakieś to wszystko bardzo skaczące — no, ale zostaw to pan na kilka dni, po przeczytaniu dam panu odpowiedź“. Łaziłem dwadzieścia sześć dni z rzędu, a w końcu zwrócił mi oba manuskrypta z uwagą, że on ich nie może pojąć... To bardzo naturalne. Zresztą jak dziwić się jemu, kiedy sam redaktor moich płodów nie pojmuje. Ale to głupstwo, mnie to wszystko nie odstrasza (*z wzrastającym zapałem*). Znam złość i zawiść ludzką i jestem wyższy ponad to, jestem wyrozumiały w błogiem przeświadczeniu, że znajdę uznanie prędzej, czy później, jeśli nie u tych to u innych, jeśli nie za życia to po śmierci moi współobywatele wystawią mi pomnik. Zresztą uczy nas historja, że żaden wielki człowiek nie znalazł za życia uznania, toć i Słowacki i Mickiewicz błąkali się po świecie o chłodzie i mało kto ich znał za życia. Mimo to tworzyli bez oglądania się na świat

niewdzięczny, pisali wciąż dalej a dziś jak stoją? Kto ich dosięgnie? A ręczę, że gdyby Słowacki był przysłał który ze swoich wierszy naszemu redaktorowi, on nie byłby go wydrukował. Taki to już świat, taka niewdzięczność ludzka. Dlatego ja nie dam się odstraszyć, będę dalej tworzył, będę zbierał wiersz do wiersza, tomik do tomika a przed śmiercią zostawię fotografję i rodzina wyda zbiorowe wydanie... Wtedy osłupieją ci wszyscy, którzy się teraz naigrawają, przekonają się, że była we mnie jakaś moc... Tak, ale dlaczego to ma się stać dopiero po mojej śmierci, kiedy ja już za życia mogę się dostać na Parnas... A miałem taki cudny sen a przecież mówią, że sny sprawdzają się. Zdawało mi się, że zaraz po ukazaniu się zbiorowego wydania moich dzieł wraz z moim portretem w profilu (mam bardzo zajmujący profil) zawiązał się komitet ku uczczeniu mego jubileuszu, bo jakoś i jubileusz na ten sam czas wypadł. W mojem pomieszkaniu zjawia się deputacja kobiet przywdzianych w cudną biel, jedna z pań deklamuje mój utwór a druga wręcza mi dar honorowy... Ja odpowiadam wierszem tak cudnym, że połowa deputacji zemdlała a druga połowa dostała spazmów zachwytu. Deputacja kobiet wyszła — naturalnie po oprzytomnieniu — a wchodzi deputacja literatów i dziennikarzy. Pierwszy przemawia jakiś literat — co zresztą tylko we śnie jest możliwe — a inny wręcza mi album z fotografiami i autografami najznakomitszych kolegów. Ja naturalnie dziękuję do głębi wzruszony, naturalnie wierszem, naturalnie sonetem, poczem jeden z deputatów wręcza mi stosowny akt pergaminowy, którym wdzięczne społeczeństwo oddaje mi na własność pierwszą lepszą wioskę zakupioną dla

mnie w dowód uznania i wdzięczności. Zawiązuje się komitet dla budowy mojego pomnika, jakiś krawiec, czy szewc zdejmuje ze mnie miarę, sprowadzają marmur kararyjski, moja Stefcia płacze ze zbytku szczęścia jak małe dziecko, mój redaktor pęka i rozlatuje się w kilkanaście marnych kawałków, moi koledzy schną jak szczapy i umierają na suchoty a ja — ja drukuję odtąd wszystkie moje płody w pierwszorzędnym organie literackim, dostaję po szóstce od wiersza i błogosławię pamięć ojca, który pierwszy poznał się na mnie i na moich zdolno ściach... Ach, jak to było ślicznie, jak bosko, jak wspaniale... ba! (*Pauza*).

Zaraz po tym śnie napisałem cykl sonetów pod tytułem: „Skok z Parnasu“ istnie arcycacko, które bezzwłocznie wysłałem do redakcji „Złotego pióra“ z prośbą o zamieszczenie w najbliższym numerze.

Naturalnie dołączyłem markę na odpowiedź, bo ci barbarzyńcy, gdy im się coś niepodoba nie zwracają manuskryptu, ale wrzucają go do kosza. No i jak sądzicie? W ośm dni później zwracają mi manuskrypt bez odpowiedzi... Powiadam państwu — myślałem że popełnię tego dnia samobójstwo... Trzeba znać te wiersze, żeby zrozumieć moje położenie...

(*Bierze ze stołu manuskrypt*).

Aż się prosi każde słowo, żeby je drukowano. Na przykład zaraz pierwszy sonet (*czyta*):

„Wierzgaj mój koniu, wierzgaj mój Pegazie,
Płyń jak ten rybak, co za rybką goni —
A choć mu zimno, choć zębami dzwoni
Płynie wciąż dalej... niby mucha w mazi“...

(*Mówi*). Co za piękne opracowanie, te porównania żywcem z przyrody na papier przeniesione a rym i rytm to już chyba mistrzowskim nazwać można. Albo następna zwrotka (*czyta*):

„Pędź więc mój koniu, bo w przeciwnym razie,
Gdy zechcesz stanąć w rzędzie innych koni
Ujrzysz kobyłę i przemówisz do niej —
I jużeś przepadł na wieki — narazie“...

(*Mówi*). Jak tu się pięknie rymuje pierwsza z czwartą, piątą i ósmą a druga z trzecią, szóstą i siódmą. Czegoż więcej można żądać, proszę ja kogoś, czy to nie jest awantura? A teraz następuje najpiękniejsza część — zakończenie: dwie zwrotki po rzy wiersze (*czyta*):

„Więc skacz mój mały rozwinąwszy skrzydła
A choćby nawet podróż ci już zbrzydła
W tem towarzystwie przeróżnego bydła...

Znaj, że co cybuch to nie zwykła fajka.
Ty milcz na wszystko, bo wszystko to bajka,
Milcz, jak ta kura, która znosi jajka“...

(*Mówi*). Co? Pan się śmieje, panu to się nie podoba... Przepraszam bardzo, ale widzę, żem wszedł w takie towarzystwo, które mnie nie rozumie a to jest największą dla poety karą... Byłbym przeczytał cały cykl sonetów, ale jeśli to pana rozśmiesza, to i niewinni za winnego niech cierpią — nie będę czytał... (*Z oburzeniem*). Moje uszanowanie, sługa uniżony... Czy pan może jesteś aptykarzem?... Moje uszanowanie... (*Wychodzi*).

MAKSIO RAMPOLER

specjalność małomiasteczkowa.

MONOLOG.

(*Zwraca się ku bocznym drzwiom*). Dobrze, dobrze proszę łaski pana burmistrza, ja troszki poczekam, dziękuję... dobrze, ja troszki poczekam tu w psiedpokoju... (*Do publiczności*) Pan burmistrz mnie zawsze tak fajno przyjmuji, on mnie bardzo szanuji, bo wie, co ja jezdym lepszy człowiek, on wie, co ja mam wszędzie szacunek i u pana mecenasa i u pana sędziego i u pana radca, wszędzie, wszędzie wiedzą, co Maksio ma głos u każdego i co chce to zrobi. Jam mam już taki szczęści, że ja wszystko umiem, słowo honoru daję auf meine Ehre, ja jestem do wszystkiego i dlatego mnie lubią wszystki panowie a nawet panie tyż i panienki. Jeszcze nie był interes abym ja si do niego nie umiał zabrać i to jest moja sztuka, darin steckt meine Kunst. Ali to trza mieć rozum na głowy, to nie chtobądź umi potrafić. Ja umiem i dlatego co ja chcem to musi być i dlatego kużdy zaraz przychodzi do Maksia. Cy przyjecha jakiś tyjater z aktorkamy, cy jakiś cyrkus, cy co bądź, to ja jestem cały zarządca od sztuki, bo tu się nicht na tem nie zna ino ja, ja Maksio Rampoler.

Ja jestem wszystko. Czasami 'jezdym mecenas od sztuki, czasem mecenas od sądu, czasem mecenas od słabości, czasem agent od rowery, czasem od asekuracji, od szpekulacji, od kolacji i od inny malwersacji. Jak państwo widzą to jezdym bardzo elegancki, mehr weniger wykształcony, mówi bardzo ortograficzni po polsku, bo ja skończył cztery klasy i mam do czynienia tylko z inteligencji, tylko z państwem, nur mit der besseren Klasse. Dlatego za mnie się tu każdy boi jak za żandarma albo za pana starosta. Abo ja już niebył starostem? Byłem, dalibóg byłem. Przychodzi sobie raz jakiś chłop do miasta i miał interes do starostwa. Naprzód poszedł si poradzić do swego adwokata do Herszka Winkelfeder, co on nawet nie jest całym adwokatem ali si rozumi na tem lepi, niż wszystki adwokaty razem. Herszko mówi do tego chłopa: „Jak ty chcesz aby było dobrze, to ty daj 10 reński na stemple a 5 reński na prezent dla pana starosta, które ja jemu w twoje oczy dam, bo on od ciebie nie zechce przyjąć. Na drugi dzień chłop przyniósł pieniędze na stempel, na taksę, na fatyki i na prezent i Moszko z nim poszedł do pana starosta ali nie do biura ino na spacerze chciał go złapać, za miastem, tam gdzie pan starosta zawsze spaceruji... Nu? I złapali pana starosta i Moszko z nim mówił i chłop go w ręki jeszcze pocałował i p. starosta przyjął prezent i na stemple i na taksę a wici państwo chto był ten pan starosta? Nu chto? (*Wskazuje na siebie z dumą*). Abo ja nie wyglądam lepi na pana starosta jak sam pan starosta? Chłop jak mnie zobaczył to sie zaczął trzęsić i ściągnął czapki i pocałował mi na Hankeuss jak pana proboszcza... A ja tylko nałożył cwikier,

założył ręki do kieszeni od spodni i powiadam: „Co ten człowiek zechce sobi odemnie na ulicy, ha?“ *(z uśmiechem)*. Ja jego chciał przestraszyć... Nu i on si tak przestraszył, co mało nie umarł na zabicie serce i dał co miał a w starostwi jemu zrobili wszystko bez tego, a jak nie zrobili zaraz, to zrobili troszka później, a jak nie jemu, to komu inszemu, ale zawsze zrobili, ale ja zrobił co do mnie si należało, ja wziął.

Nu a sendzią to ja raz niby nie był? Czemu ni? Był jarmark a ja sobi czekał tak jak teraz czekam w przedpokoju u pana burmistrza. Wtym przychodzi jakiś chłop z jakimś żydem i kłócą się. A ja do nich: „Cicho jeden z drugi, co wy sobi myślicie, co tu je jatka, czy handel korzeny, cy co?“ Chłop si przestraszył, pocałował mi na renki i mówi: „Proszy łaski pana sendziego“.... E? Jak ja słyszy „łaski pana sendziego“ to insza sprawa. Żyd zaczął si śmiać, ja na niego mrugnił, żeby był cicho a wszystko będzi dobrze. Potem mówim do chłopa: „Mów durniu jak było, ale prędko i cicho, bo jezdym znerwowany“. Chłop zaczął opowiadać, ale tak jak chłop, hin und her, długo i szeroko a ja do niego: „Już wim, więcej nie gadaj ale płać kary trzy reński“. Chłop zaczyna pytać: za co, po co, tego owego a ja do niego: płać kary durniu jakiś abo ci każy zamykać do kryminała na dwa miesięcy“... Nu i zapłacił i poszedł: A dlaczego, bo ja mam głowy, ich hab a Kopf panie dobrożieju wie a Minister! Jaki sprawki to ja już miał może dwasta, więcej jak dziesięć adwokaty i mądrzej załatwiałem jak sto adwokaty. Bo to nie sztuka być adwokat i już, albo sędzia i już, ale sztuka jest być adwokat i sędzia i notarjusz i mecenas i agent i wszystko naraz. A ja właśnie jestem

wszystko naraz, bo ja mam doświadczenie, ich hab Erfahrung, ja jezdym bywalic, ja był już w Pest i wy Widni i co miesiąc zajiżdżam do Lwowa, überall war ich schon, ja wszystko widział, wszędzi był i jestem bardzo uczony. Wy Widni to się nawet jedna hrabina we mni' bardzo zakochała i chciała już ze mni uciekać do Ameryki, ali ja mówił, że nie przyjdzie do tego. Po co mnie jechać do Ameryki kochać, kiedy ja mogę ji tutaj kochać. Ona myśliła co ja jezdym baron, ja tak intligentno wyglądam to ona si pomylała. Ali potem ona si dowiedziała co ja nie baron a ja si dowiedział, co ona nie hrabina i rezeszła si partja. To była taka klucznica od kapitana nu a z takim kawałkiem to ja przeci nie mógł zrobić żadny partji „das war nicht für mich"... Miałem nawet ładny pierścionek co ona go mi zostawiła, to jest nie zostawiła, ale ja go zatrzymał sam dla siebie na pamiątki, alem go już spsiedał jedny tutejszy panienki, w który już od trzech lat si bardzo kocham. Ona mi za niego dała trzy reński, ale on nie był wart więcej jak reński. To trudno, musi człowik zarobić na wszystko, bo miłość to miłość a interes swoją drogą. A ja prowadzy różne interesa i na każdym coś zarabiam. Najlepi to lubim spsiedawać rowery, bo na tym to ja najwięcej zarobim. Ja sam tyż jestem biciklista a jady szliczno. Ja nigdy nie jady na swoi rowerzy, bo ja nawet nie mam; ale jak kto u mnie kupi rower to ja go biere na próby i próbuji tak długo aż komu inszemu nie sprowadzam inszy rower. Na przykład teraz to ja mam rower, co sobi u mnie obstalował pan sędzia Paragrafowicz. On zapłacił, ja sprowadził rower, zarobił na nim 60 reński i już na nim jecham ze trzy miesiący. On zapłacił a ja jecham...

che... che... che. On si wciąż pyta? „Nu panie Maksiu, czy dobry rower, czy już si można zacząć uczyć?“ A ja na to? „Zaraz będzie można, panie sędzi, ino go jeszcze trochę wyjecham pary tygodni, bo jakoś jeszcze trzaska!“ A jak si coś zepsuji, to ja zaraz idę do niego i on mi daji na naprawy. Ja go trzy razy na tydzień naprawiam za jego pieniądze. On dobry człowiek jest, ein guter Pole, to wciąż daji i śmieje się, że ja go tak ciągle psuji i meczy si na to, żeby mu wyjechać jego rower. Wciąż mówi: „Nu, ali ja już potem panu będę za to wdzięczny“. A czemu? Bo on wi, co ja jezdym innij więcy honorowy człowik, lepszy człowik i pewni jak mówim to tak jest.

Tylko rowery? Ja mam inne rzeczy także. Mam stampigli kauczukowe z prawdziwej smoły, mam maszyny, mam losy, na który każdy kto chce może wygrać, mam zastempstwo od drukarni, alles hab ich co kto potrzebuji a wszystko robi si u mnie mit Dampf, prędko, dobrze i mniej więcej honorowo, uczciwo! Swoją drogą co ja mam szczęście jak aptykarz, mnie wszystko idzi gładko jak na łyżwy — a te pary głupstwa co ja miał w sądzi to tyle co nic. Po drugie opłaciło mi się to i ja się w każdym razie nie zdurzył. Co ten głupi obiwatel miał z tego żę ja siedział coś 14 dni kiedy on za to nie odzyskał swoji 80 reński a ja to zarobił? A co miał ten durny Szloma Kern z mojego aresztu — ale on już stracił swoje losy? Nic! Paskudnik jeden z drugi chce mieć interes w sądzi to skarzy, ale mnie żaden nic zrobić nie może, bo jak ja nawet posiedze na żart te kilka dni to ja przez to jeszcze nikogo nic nie zwrócę, com raz wziął. Bo jak ja coś chce to musi być tak

i na to ja mam głowy. Anu niech jeszcze ktoś to potrafi co ja? Niech ktoś pojecha koleją stąd trzy stacji bez centa, za darmo? Ja byłbym jeszcze więcej pojechał, ali zobaczyli, jednym słowym: albo si ma głowy, albo si nima a ja mam... Mnie się zdaje co pan burmistrz już będzie wolny a ja tu gadam jak na francuski kazanie. (*Podchodzi ku bocznym drzwiom*). Bardzo mocno przepraszam, czy już pan bumistrz... (*Wchodzi za kulisy a po chwili wraca na scenę*). Nie nudź mnie durniu! Co to znaczy nie nudź mnie? Może on mnie nie poznał? Przeci on Maksia nie bedzi nazywał „durniu"... Przeci on wi, że Maksio ma szacunek, on pewni jest pijany... Ja muszy jeszcze raz spróbować. (*Wchodzi powtórnie — po chwili wraca szybko na estradę*). Komu on będzie wyrzuci? Co on sobi myśli... Oj... oj... on idzie tu... (*Wybiega*).

GUCIA.

MONOLOG.

(*Pannie Józefie H. w upominku*)

(*Salonik. Młoda, roztargniona panienka — strój domowy — ruchy żywe, wesołe. — Po podniesieniu kurtyny wybiega szybko na estradę z bocznych drzwi i zostając przy nich zagląda przez dziurkę od klucza*).

Idzie... idzie, jak mamę kocham idzie pan Stanisław... Ale dostanie nauczkę. Niech wie, że go nienawidzę, że go nie znoszę, że otrułabym go, gdybym się nie bała mamy. Oj te mamy, te mamy! I coby to na przykład mamusi szkodziło, gdybym ja tak pana Stanisława otruła... a taką miałabym na to dziś chętkę, że aż ha! Zasłużył na to, zasłużył ten... ten nieznośnik jakiś! Niechże więc teraz siedzi tam sam z mamą, bezemnie, kiedy tak chciał, ten niewdzięcznik, ten najgorszy, ten... ten... nie mam wyrazu... ten... niedźwiedź, ten wilk... ten zając... Tak jest, tak jest, na nic lepszego nie zasłużył. Ja go nie kocham, ja go nie znoszę, nienawidzę... (*Zmieniając nagle ton*). A ja go dawniej kochałam, jak mamę kocham, żem go kochała, ale to już dawno, bardzo dawno, jakby przed stu laty, albo przynajmniej przed

rokiem... Lecz teraz ani słyszeć o nim nie chcę... Ciekawa też jestem, o czem on tam z mamą mówi... (*Nadsłuchuje*). Ani słówka o mnie... (*Pauza. — Nadsłuchuje*). Ten człowiek nie ma wychowania... Mówi o teatrze, o aktorkach a o mnie ani słowa. Dobrze... dobrze, niech z mamą mówi, niech się bawi z mamą, niech się nawet z mamą żeni, ja mu pozwalam, ja go nie trzymam, ja go nie potrzebuję. (*Wstrzymuje się od płaczu*). Tu będę siedziała, tu, nie wyjdę przez cały czas, aż sobie pójdzie. (*Wybucha płaczem)*. Pan Stanisław nieznośny, mama nieznośna, cały świat nieznośny... Ach! gdybym ich tak mogła razem udusić... Boże, Boże, Boże... czemu ja taka głupia? Ale wiem co zrobię. Kupię paczkę siarników i dam mu zjeść a sama zjem drugą połowę... A nuż nie zechce. Jakto nie zechce? Musi jeść. Powiem mu otwarcie: Jedz pan, albo pana zastrzelę. Zje, zje, on taki cymbał, że zje, byleby mieć spokój.. Ach, ten jego spokój zabija mnie — nic tylko spokój i spokój. Powiedzieć mu na białe, że to czarne, powtórzy, że czarne, byleby miał spokój taki nieznośny, taki... taki... jak masło... Fe! Młody mężczyzna z tak przystojnym wąsem... ach jaki on ma wąs... powiadam państwu fenomenalny, boski. Nieraz zbiera mię ochota uciąć go i wstawić do spirytusu, jak mamę kocham (*Śmieje się*). O!... zdaje mi się, że ktoś puka... (*pauza*). Ale o! Gdzie tam taki nygus zapuka, on kontent, że już siedzi na jednem miejscu, gdzieby on się ruszył, taki roz... ot, wolę milczeć... Czy słyszał kto coś podobnego, żeby człowieka nie można rozdroczyć, rozłościć, zaintrygować. Można na nim drzewo rąbać a on jak mamę kocham nic nie powie. No i jak można takiego człowieka kochać? Wprawdzie

można, można, ale jakoś nie tak, jakbym ja chciała, nie tak jak w książce, ale jakoś tak po prostu jak się małżonkowie kochają a nie jak w dramacie. Ach, jakbym ja jeszcze kiedyś chciała tak kochać i być kochaną... Pan Stanisław na przykład nie byłby zdolnym zastrzelić się dla mnie, utopić się, powiesić... bo... bo on nawet nie był przy wojsku. A taki mężczyzna nie potrafi tak kochać prawdziwie, tak rewolwerowo... Ach, ten porucznik, który wiecznie łazi za Manią, ten to zuch... o, ten wysadziłby z miłości całe miasto w powietrze, jak mamę kocham. Co za ogień u tego człowieka, jaki rozmach Boże, Boże... Czemu też mnie się taki nie uczepił, ale tej Mani mamałygowatej, która nawet go ocenić nie potrafi... Swoją drogą, że mama napędziłaby go na cztery wiatry, ale on wróciłby kominem a to takie akieś niezwykłe, romansowe... ech!... Dziwna rzecz, że mnie się jednak p. Stanisław podoba, jakiś ma dla mnie urok... (*reflektuje się*). Co? on? Nieprawda, nie znoszę go, nie cierpię, nie chcę go widzieć, niech sobie tam siedzi ten brzydas... Onby pewnie oknem nie wlazł a o kominie już mowy niema. Bałby się, żeby mu się co złego nie stało... O, znam ja go dobrze. (*Po chwili*). A ja go przecież kochałam tak bardzo, tak bardzo, że nawet wierszyk ułożyłam dla niego. Sądzicie może, że był mi wdzięczny, że odwzajemnił się? Gdzie tam! Wyśmiał mię, wykpił i — co powiecie do tego bezczelnika — chciał mię pocałować. Ale nie dałam się pocałować i pomimo gniewu mamy pokazałam mu język. Wiersz był śliczny, zaraz, zaraz, mam go gdzieś tu na brudno... (*szuka*)... a ot jest (*czyta*). Proszę posłuchać, bo warto:

„Mój ty panie Stanisławie
Nie domyślasz pan się prawie,
Że mam w sobie dość natchnienia
Począwszy od serca aż do podniebienia.

Co niedobre? Właśnie, że dobre tylko ta ostatnia linijka... ale mi zabrakło do rymu, więc musiałam — a od czegoż zresztą jest licencja poetycka? Druga zwrotka jeszcze lepsza (*czyta*).

„Więc posłuchaj pan, panie Stanisławie
To, co panu powiem dziś na ucho prawie,
Że ja pana trochę kocham,
Chociaż nie mam rymu na „ocham"...

Prawda, jakie to dowcipne? Et... (*drze papier*). Byłam głupią gąską, kiedy pisałam wiersze do takiego flegmatyka, spiocha, który tego odczuć nie potrafi... Skąd jemu do poezji, kiedy on nawet kominem wleźć nie potrafi? Nie dziwo że mnie wyśmiał, bo nie zrozumiał mnie! Ach, byłam taka wtedy wściekła, że byłabym mu oczy wydrapała, ale mama stała obok, więc bałam się, żeby mnie za drzwi nie wyrzuciła. Z mamą niema żartu, ale o! Już prędzej tato przebaczy w takich razach, ale mama taka groźna i w sądzeniu surowa jak sam Pan Bóg. Panu Stanisławowi pozwala bywać i nawet go chwali. Powiada, że jest poważny i stateczny. Otóż właśnie to nie podoba mi się. Nie kocham go, nie kocham... o! Kto tam? Kto? Pan Stanisław? Nie — nie wolno wejść... Dlaczego? Bo... bo... (*w roztargnieniu*) bo właśnie przed chwilą wyszłam to jest... nie... wyjdę... a raczej... nie jestem ubraną, ubieram się... nie... zresztą co to pana obchodzi... pan... pan.. zjedz pan siarniki... albo nie... chciałam powiedzieć... e... idź pan sobie... Co?

Jakto pan musisz, nie wejdziesz pan, nie, ja nie pozwalam, rozpłaczę się, zresztą ja sobie coś złego zrobię... Dobrze... (*pauza*) dobrze, idź pan, idź pan... nie trzymam pana, idź pan do domu.. (*pauza)* On umilkł? Co to ma znaczyć... Dobrze, dobrze mu tak, to mu się należy... (*Zagląda przez dziurkę od klucza*). Co? On odchodzi na prawdę? Żegna się z mamą... O, nieznośniku jakiś... *(Wybucha płaczem*). Czekaj pan, czekaj pan!... (*Szybko wybiega*).

CZEKAM NA ŻONĘ.

MONOLOG.

(*Scena wyobraża kurytarz albo przedsionek.. Mężczyzna w średnich latach — okutany w palto, z nastawionym kołnierzem — chodzi szybko po scenie. zaciera ręce*).

(*Mówi jakby do kogoś stojącego na pierwszem piętrze*). A powiedzcie tam żonie, że już od godziny czekam na takim mrozie, powiedzcie, że już dłużej nie wytrzymam, bo mi formalnie uszy odlatują... (*Chodzi szybko*). Czekać źle, nie czekać jeszcze gorzej, bo to i późna godzina i jakoś nie wypada. Zresztą coby Kundzia powiedziała... nie miałbym spokoju przez jakie trzy tygodnie. (*Staje*). O, bo moja Kundzia ma energję o, ma! Złote ma serce, złota kobieta, ale nie życzyłbym nikomu z państwa wpaść w jej buzię... zmiele na mąkę, jak Boga kocham. Do niej trzeba się panie przyzwyczaić, trzeba ją poznać, zbadać a dopiero wtedy widzi się, jakie to nieocenione stworzenie. Brrr. Ależ to zimno, termometr pewnie wskazuje tysiąc stopni (*Chodzi*). Kiedyż się nareszcie skończy to posiedzenie u licha... taż to nie do wytrzymania (*Chodzi coraz szybciej*). A co mnie najwięcej złości to to,. że takie oczekiwania powtarzają się dzień w dzień. Moja Kundzia ma złote

serce i należy do kilkunastu stowarzyszeń humanitarnych, tu jako prezesowa, tam jako unterprezesowa, gdzieindziej znów jako sekretarka lub skarbniczka i na każdem posiedzeniu każdego stowarzyszenia bezwarunkowo być musi, a że te posiedzenia odbywają się przeważnie wieczorami więc naturalnie ja jako mąż mam święty obowiązek czekać codziennie na innym kurytarzu i dzwonić zębami jak na Anioł Pański... Jest jeszcze drugi taki. Jest jeszcze pan Kazimierz Zarękawski, który razem ze mną zwykle wyczekuje na swoją magnifikę, ale dziś go jakoś nie widać. My tak zawsze razem spotykamy się w kurytarzu, on na swoją czeka, ja na swoją... Pomagamy sobie che... che... che... Pani Zarękawska jest jeszcze o wiele energiczniejszą od mojej baby. Ta ma w sobie ogień — iii... niech się schowa wachmistrz od ułanów! A moja to podobno od niej pobiera lekcje. Co ważniejsza, że na to niema rady. Nieraz z panem Kazimierzem w naszych rozmowach kurytarzowych przyrzekamy sobie poprawę, obiecujemy sobie wziąć baby w ręce, pokazać im naszą wyższość, energję, męskość, ale djabła tam. Nazajutrz spotykamy się z panem Kazimierzem w innym kurytarzu... „No jak tam panie socius doloris?“ „Ta sama bieda panie: jak baba zaczęła spiewać cienko, a ty taki, a ty owaki, zapomniałem o naszych ślubach, przeprosiłem i z ciężką biedą odzyskałem spokój“... Wstyd panie Kazimierzu“ — powiadam mu — „a gdzie energja, gdzie duch bohaterów, któż to widział?“ „Jeśli tąk“ — powiada on — „to chodźmy stąd, niech same wracają do domu“... „Oj co to, to nie, panie Kazimierzu“ — odpowiadam mu — „bo bym jutro miał piekło“... Zaczęliśmy się

śmiać... bez końca! (*Śmieje się*). Nie — to nic nie pomoże! Jak człowiek raz wlezie pod pantofel to go i tramwajem stamtąd nie wyciągnie... Brrr... Ależ to wściekłe zimno a moja Kundzia ani myśli wychodzić. Cóż to u djaska, czy one chcą z biedaków i nędzarzy milionerów porobić. Zastanawiają się teraz nad zakupem opału na zimę dla tutejszych biednych... Nie — wiecie, że to kapitalne, moja żona chce ogrzać biednych a mnie pozwala tu marznąć od godziny. I jak tu nie być energicznym, jak można pozwolić na takie barbarzyństwo? (*Chodzi szybko*). Ostatecznie musi się to zmienić! Tak być dłużej nie może. I pies by się urwał na takim mrozie... Dziękuję za łaskę... Czego za wiele, tego i ja nie lubię.. O, moja pani, tym razem przesoliłaś... Już mam tego aż po szyję.. aż po szyję... powtarzam... aż po uszy... aż po łysinę... Toby mi się podobało... (*Coraz głośniej*). Dziś jestem tu po raz ostatni — słyszysz? Dziś po raz ostatni — jutro... jutro... (*zniża ton jakby skonfundowany*)... jutro znowu mam czekać przy ulicy Długiej, gdzie Kundzia ma posiedzenie w Towarzystwie opieki nad sierotami... Nie tu doprawdy oszaleć można... (*Chodzi coraz szybciej*) Odchodzę! Wszystko mi jedno... Wracaj albo nie wracaj, ja idę do domu. Idę a ty Kundziu rób co chcesz... co ci się podoba, nocuj tu, albo jedź fijakrem — ja dłużej nie czekam. Miała wyjść o 7-ej a teraz trzy kwandranse na dziewiątą, czy słyszał kto coś podobnego. Ale jakoś i pana Kazimierza nie widać... (*Staje na chwilę*) Ehe.. pewnie gdzieś go wciągnęli na wódzię... (*Śmieje się*). A to będzie heca jak wyjdzie pani Zarękawska a jej opiekuna nie będzie... gwałtu, nie chciałbym być w jego skórze... Natomiast moja Kundzia będzie

miała sposobność przekonać się, jakim ja jestem mężem, nie od parady, nie od pensji ale na mróz i gorąco, na ogień i wodę, na wszystko wytrzymały — a więc czekajmy... czekajmy cierpliwie (*Chodzi znów tam i napowrót*) a nagroda będzie... o jeszcze jaka, bo moja droga Kundzia ma złote serce. (*Staje*). Ach, jaka ona czasami dobra... Gwałtu moje uszy... Nieraz to ona mnie doprawdy zastanawia swoją dobrocią. Bywa, że mam niedobre myśli che... che... che.. nieładne zamiary — a ona ani słówka człowiekowi nie powie... Swoją drogą, że ja tych myśli nigdy głośno nie objawiam... ale dość, że ona nie bada, nie myszkuje, nie stara się odgadnąć... O, źle, już i w nogi zimmo... (*Przestępuje z nogi na nogę*) Dobra... dobra, a czasem to już muchy w nosie, co muchy? Bąki całe, jak Boga kocham bąki... I gdyby nie moja energja panie dobrodzieju, gdyby nie moja stanowczość, to byłoby nieraz źle... O, bo ja czasami... Ale, ale... widzę stróża... (*mówi do kogoś stojącego na I. piętrze*). Mój kochany Janie, powiedzcie... to jest poproście tam... niby ukłońcie się tam mojej żonie, przeproście w mojem imieniu i powiedzcie, że czekam dwie godziny... poproście by tu zeszła... bo ja już muszę... co? Nie słyszę... Nie ma dziś posiedzenia? Jakto? Przecież tu dziś... a jakież to stowarzyszenie... Jakie?... Opieka sierót.. Co? To tu jest ulica Długa?... tu dopiero jutro?... Gwałtu!!!... (*pauza*) A tom sobie nawarzył!... Gwałtu, tam żona już przed godziną wyszła i musiała wracać bezemnie... Co ze mnie za cymb... za naiwny... jaki ja roztargniony... Ślicznie! Co najważniejsza (*w zakłopotaniu*)... że to był dopiero prolog tego dramatu a w domu... oj, mdleję... (*Wychodzi*).

MOWA PRZEDWYBORCZA.

MONOLOG.

(Łysy jegomość — wąs szpakowaty — strój uroczysty — mówi z przesadą).

Panowie wyborcy! Oto ja uproszony przez poważne grono wyborców staję tu przed wami, aby wam wypowiedzieć mowę kandydacką, w której mam wam złożyć moje uszano... to jest te... moje wyznanie wiary — jakże to się zowie — politycznej.

Szanowni panowie! Staję oto przed wami w najlepszem panie... tego... usposobieniu to jest te... w najlepszej wierze, ażeby przed wami szanowni panowie wyspowiadać się ze wszystkich grzechów... to jest przepraszam — pomysłów politycznych, jakie we mnie panie tego nurtują i jakie pozwalają mi sięgnąć po tak ważny mandat poselski.

Szanowni panowie wyborcy! Ludziom w świecie różnie się darzy; jeden jedzie, drugi chodzi, trzeci łazi, a czwartego nosić muszą. To wszystko panowie zależy od przeznaczenia. Przeznaczenie, panowie wyborcy, jestto owa tajemnicza tablica — że użyję poetycznego porównania — z treścią wyrytą stalowym rylcem, która się zmienić nie da. Przeznaczenie panowie wyborcy jest tą ręką, która nas prowadzi i tą nogą, która nas, która nas... za drzwi wyrzuca.

Przeznaczenie panowie, wyborcy jest przeznaczeniem a ci, którzy w przeznaczenie nie wierzą są, panowie wyborcy osłami.

Mnie panowie wyborcy przeznaczonem jest być waszym posłem, więc oddajcie mi wasze głosy, a pewnie nie pożałujecie. Bo ja panowie mam w sobie, jak oto widzicie, talent urodzony na znakomitego mowcę i znam doskonale wszystkich mieszkańców i ich kiesze... tj. tego... ich potrzeby, ich żądania, ich... ich... żądania!

Szanowni panowie wyborcy! Zapewne jesteście ciekawi poznać mój program polityczny. Otóż dowiedźcie się, że każdego zadowolić potrafię. Moje przekonania polityczne mają właściwie tę jedną właściwość, że właściwie nie mają żadnej właściwości. I to właśnie moja główna zaleta, bo ja jestem wszystkiem. Jestem demokratą z zasady, konserwatystą z przekonania, klerykałem z zamiłowania, socjalistą ze zwyczaju a z antysemitami mam to wspólne, że i ja lubię u żyda pożyczać i mnie także piękna żydóweczka rozaniela... Widzicie więc szanowni panowie, że mam kwalifikacje na idealnego posła.

Co się tyczy mojego programu, to ma on właściwie tę samą właściwość, co moje przekonania. Dziś wiem tylko tyle, że będę dużo robił... Postaram się przedewszystkiem o to, o co mi się każecie starać. Czy to panie tego wodociągi, czy szpitał warjatów, czy telefony, czy wojna, czy pokój, czy na lądzie, czy na morzu — a jakże — wszystko, wszystko przerobię moim wpływem, moją powagą i moją panie tego oratorską swadą.

Szanowni panowie! Już moja mamka śp. Hanusia śpiewała nad moją kołyską, że to co cicho

leży w kołysce daje dużo do myślenia... Na szczęście mnie wtedy w kołysce nie było... ale ona nie o mnie spiewała, ona mówiła o mojem przeznaczeniu, ona już wtedy wiedziała, że ja panowie przeznaczony jestem do wyższych celów, do wyższych rzeczy i panie tego celów. Dlatego właśnie powinniście panowie to zrozumieć i dobrze się nad tem zastanowić, ażeby zrozumieć, że takie zastanowienie jest dla zrozumienia tego godnem zastanowienia, że się tak wyrażę w naszem rozumieniu. To też słusznie powiedział poeta: „Swego chwalicie, cudze posiadacie — panie tego — sami nie wiecie co wy chwalicie“. I słusznie!

Spodziewam się więc, że szanowni panowie wyborcy zrozumiecie dobrze o co się rozchodzi i z hasłem „z szlachtą polską polski lud“ przystąpicie zwartą falangą, czy całym pułkiem do urny wyborczej i mnie oddacie wasze głosy, co dałby Bóg wam i mnie i ojczyźnie naszej wspólnej — amen!